



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z p. zesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## Wystawa pracy kobiet.

### I.

Od kilku dni, na ścianach narożnej kamienicy, przy zbiegu Placu Teatralnego i ulicy Senatorskiej, w Warszawie, zwracają ogólną uwagę, wielkie afisze symboliczne. Przedstawiają one, wysmukłą postać niewieściami, wspartą na kuli ziemskiej, a dzierżącą, w podniesionych ramionach, wieniec z lauru. Kobieta, ta bezsprzeczna podstawa i korona ludzkości, ten geniusz jej najwyższy, wieńczy tu owym laurem, rzecz nader sobie miłą, bo wystawę własnej pracy.

Dzięki więc szyldowi i afiszom wykonanym według własnego pomysłu i ofiarowanym przez malarzkę, p. Mierosławską, miasto dowiaduje się, iż „Wystawa pracy kobiet“ przeszła w dziedzinę faktów dokonanych.

Otwarta uroczystie w d. 29 października, r. b. przez głównego Naczelnika kraju, J. O. ks. Imeretyńskiego i Jego dostojną Małżonkę, Wystawa ta zasługuje na naszą wyłączną uwagę.

Podjęta z inicjatywy Warszawskiego Muzeum Rzemiosł, a doprowadzona do skutku staraniem i zabiegami małego grona osób dobrej woli, musiała ona, z samego założenia swego stać się nieco jednostronną. Egida bowiem Muzeum Rzemiosł, zniewalała z góry, do zamknięcia jej w ramach *rękodzielniczych*; niemożność zaś, zdobycia większego lokalu, nakazała i te jeszcze ramy ograniczyć możliwie.

Pomimo więc, iż członkowie komitetu urządzającego, p. p. mecenasowa Krausharowa i Na-

talia Krzyżanowska, przemawiały gorąco, za wszechstronnem zobrazowaniem pracy niewieściami, za turniejem, któryby przedstawił poglądowo, wyniki działalności kobiet, we wszelkich dziedzinach społecznych i ekonomicznych, wniosek ich przeprowadzić się nie dał. „Muzeum Rzemiosł“, ograniczone ustawą swą, musiało wykluczyć wszystko, co nie stoi z nią w ścisłym związku. Od wychowania więc i pedagogii, tego królestwa kobiety, aż do literatury i sztuki, drugiego królestwa, w którym duch jej i obraz niepodzielnie często panują, cała rozległa dziedzina pracy umysłowej i wpływów moralnych, usunięta została, na rzecz wyrobów *rękodzielniczych*. Powtarzamy to umyślnie i z naciskiem, inaczej bowiem, zrozumienie obecnej wystawy, utrudnionem byłoby.

Jest ona zatem specjalną i wykazuje postępek pracy kobiet, w jednym wyłącznie kierunku.

Jako taka, wystawa bardzo się ładnie prezentuje. Nieduża, zawsze wskutek braku lokalu, bo gdyby nie ten szkopał, możnaby okazami jej gmach cały zapełnić, uderza ona pewnem, charakterystycznym piętnem.

Oto okazy jej noszą na sobie cechę dobrego smaku. Postępek, na tym punkcie, jest tak znaczny, iż cała wystawa, pomimo zakresu rzemieślniczego, zadziwia swem piętnem artystycznym. Poczucie piękna bardzo już silnie rozwinęło się u naszych pracownic; wszystko też od trzewiczka, aż do gobelinu, od haftu do kwiatów i galanteryi, zdumiewa wykwintnym gustem i tem wyrobieniem, poczuciem harmonii, zrozumieniem barw i linii, które zamieniają każdy przedmiot, w drobne dzieło sztuki nieledwie.

Maluczko, a nie będziemy mieli czego zazdrościć zagranicy. Szczególniej, gdy ten artyzm w pracy, dziś już objawiany, rozwinie się na tle swojskich, narodowych motywów.

Tymczasem, obecna wystawa przynosi trzy doraźne, dotykalne korzyści: 1-o Pozwala uboższym pracownikom obejrzeć rzeczy naprawdę piękne, kształcejące smak ich w obranym zawodzie. 2-o Wykazuje dowodnie, na jakich polach działalności, najłatwiej chleb znaleźć można, gdzie jest zbytek podaży, a gdzie popyt panuje. 3-o Uczy nas, iż nabywane często rzeczy bardzo drogie, jako wyroby zagraniczne, podczas gdy one tu, na miejscu, wykonane zostały. Zyskuje na tem niesumienne handlarz-pośrednik; traci: wytwórca i odbiorca. Wystawa pozwala im zawrzeć bezpośrednie stosunki, a zarazem przekonuje, iż sprowadzanie wyrobów obcych, jest nielogicznością, w danym wypadku.

Przy tak zaznaczonem ogólnem dążeniu, nie brak rzecz prosta i dyletantyzmu. Stosunkowo jednak jest go niewiele. Z jednej bowiem strony, dopuszczanie go do ogólnego popisu było z góry wykluczonem; nie chodziło tu bowiem, o zabawkę możnych, lecz o *pracę* zarobkową; z drugiej, dyletantyzm rzadko zwraca się w kierunku *rękodzielniczym*. Ztąd, najpierw wszelkie prawie okazy na wystawie są do nabycia, a sprzedaż ich idzie rażno, powtóre zaś wszystkim ich wytwórczyniom należy się od nas sumienna ocena. Istnieją tu bowiem gałęzie pracy, doniosłej dla kobiet, o której jednak nikt nie wie. Przedstawicielki ich, mozołąc się, wśród obojętności nie poinformowanego ogółu, czekały może lat kilka nieraz, na to zasłużone uznanie, jakie im się dzisiaj, z racyi wystawy należy.

Nie pominiemy zatem nikogo z wybitniejszych. Tymczasem zaś, zaznaczamy, iż turniej obecny rozpada się na następujące grupy:

*Dział I-y.* Rzeczy doskonałe pod względem wykonania i mogące, *hors concours*, służyć za



wzór w danym kierunku. Na czele ich postawić należy: Przepyszne hafty złotem i kamieniami, z wykonaniem portretów *à l'aiguille* zakładu „Magdalenek,” w Warszawie. Dalej: pajęczki koronki: *burano*, *vieux point flamand* i *vieux point de Bruxelles*, pani Leonowej Jasińskiej i pani Strońskiej. Wreszcie wyborne wykonaniem, a nieznanne dotąd u nas, mozaiki nicejskie, panny Maryi Starża. Koronki brabantkie i mozaika, wprowadzane w Królestwie po raz pierwszy, mogą znaleźć szerokie zastosowanie, przynosząc dobrobyt tysiącom rodzin, o ile wyrób ich udoskonalony, stałby się przedmiotem eksportu.

*Dział II-i.* Szkoły zawodowe pań: Nowińskiej, Tokarzewskiej, Wiesiołowskiej, Strońskiej, Wojewódzkiej, Korycińskiej, Przewoskiej, Skwareckiej, Borkowskiej, i t. d.

*Dział III-ci.* Wyroby włociańskie. Jedwabnictwo, hafty podolskie, samodziały, kilimki

*Dział IV.* Wyroby nowe lub mało u nas znane.

*Dział V.* Rzeczy tuzinkowe, lecz pożyteczne.

Po tem ugrupowaniu okazów, oraz po zaznaczeniu cech charakterystycznych wystawy, łatwiej nam będzie, rozejrzeć się w jej szczegółach.

Anatol Krzyżanowski.

## DROGA.

Janinie Wiewiórskiej.

Wiję się ścieżka, wstęga złocona,  
Wije się w przestrzeń pół siną,  
A myśl ma pyta: dokądże ona  
I jaką dąży krainą?

Tuż przy niej grusza rośnie garbata,  
I zcicha liśćmi szeleści —  
Złocista ścieżko, nie spiesz do świata!  
Nie giń mi z oczu bez wieści!

Opodal chata staruszka stoi —  
W ogródku słonecznik kwitnie —  
Patrz, wszak druhowie wszystko to twoi!  
Rzucać ich — czyż to zaszczytnie?

Poeto młody! — ścieżka mi rzecze —  
Żaliż ty czynisz inaczej?  
Czyż cię nie bolą nędze człowiecze?  
Zimnys na ludzkie rozpaczę?

Żali po światło żywe mądrości  
Nie jeździsz w dalekie kraje,  
By twoi bracia posiadli prości  
To, czego im dziś nie staje?

Żali na ból ich, co łzami płaci,  
Żadnych im pociech nie trzeba?  
Czyż nie pragnąłbyś dla swoich braci  
Przychylić w duszy swej nieba?

Ja nie bez celu wstęgą się wiję,  
Po przez złociste zbóż łany,  
Mnie nie zawrócą siły niczyje,  
Z drogi przezemnie obranej!..

Wszak i ja także w rozwoju świata  
Gram rolę wagi niemałej,  
I moja misja w skutki bogata,  
Pełna szczytności i chwały!

Wijąc się naprzód, na mil tysiące,  
Przez myśl twą niedościgniona,  
Łączę narody różnie mówiące,  
Przeróżne szczepy, plemiona...

Z przed twej tu chaty rączemi loty  
Wybiegłszy w świata przestrzenie,  
Jak kameleon, w baśni zakłęty,  
Skrzę się, połyskam i mienię.

Raz ślad mój w mrocznej borów gęstwinie,  
Jak dróżka wiję się dzika,  
Wśród mnogich kniei w zaroślach ginie,  
Mchy i paprocie przenika.

To znów po skałach pnę się wysoko,  
Jak gdyby roślina pnąca,  
W jasnym błękitach topię swe oko,  
I spijam złoty blask słońca.

Często gdy miasto napotkam, w drodze, —  
Przeciąwszy gmachów kolumnę —  
Rada, że ludziom w cząstce wygodzę,  
W ulice zmieniam się tłumne.

Czasami po mnie, niby dwóch węży,  
Łuski się wiją w dal świata,  
I piec ognisty, co parska, rzeży,  
Z piekielnym hukiem przelata!

A gdy ocean w poprzek mi stanie —  
Gościniec znaczę przez wodę,  
I przy fal ryku i huraganie,  
Do portu błędną łódź wiodę.

I płyną po mnie, jadą i kroczą,  
Całe miliony podróźnych,  
A ja ich witam z serca, ochoczo,  
Gdyż nikt z nich nie ma rąk próżnych.

Każdy z nich niesie jakiś skarb drobny,  
Słówko mądrości i rady,  
Każdy z nich w wiedzę jakąś zasobny,  
W promyk nadziei, choć błądy.

Idąc, stóp swoich zaznacza szlaki,  
To myślą, to serca czynem,  
A takie ziarna i posiew taki —  
Wszak światłem dusz jest jedynem!

Więc się nie gniewaj, poeto młody,  
Za kres mej drogi daleki,  
Że się wymykam z przed twej zagrody,  
Z pod złotych łańców opieki.

Jedna nam dola z góry sądzona,  
Jedne wyroki nas pędzą.  
By świat opasać z własnego łona  
Wysnutą uczuć swych przedzą.

I ona przedzą, niby sieć potem,  
Przyciągnąć do swojej chaty —  
Cieszyć się myśli uczuć klejnotem,  
Że taki połów bogaty!..

Wiktor Dzierżanowski.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

# WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—\*—

(Dalszy ciąg).

Krokiem szybkim, a z sercem bijącym szła teraz Jadwiga z chodnika na chodnik, z ulicy na ulicę. Gdyby kto spojrział w twarz jej, zobaczyłby uśmiech wesoły na ustach, głowę nawet miała nieco wyżej ku górze podniesioną, w spojrzeniu dumę jakąś, jakby odbłask tryumfu z otrzymanego zwycięstwa. Przeczuciwała radość, jaką rodzicom sprawi, czuła nawet pocałunki gorące Janczewskiej, nie kłopotującej się już o drwa do pieców, oswobodzoną od tysiąca nieprzyjemności, na jakie narażoną codziennie niemal zostaje przez braki różne w gospodarstwie domowym.

Ach! wielkiem jest szczęściem — dobrobyt.

Nigdy tej prawdy tak nie czuła Jadwiga jak w tej chwili. Nie myślała jednak o sobie — rodzice zajmowali jej myśl całą, znoszący w milczeniu różne przeciwności losu. Biedny ojciec poskarżył się czasem, lubił pamięcią o przeszłość niedawną potracić, zajrzeć myślą do Sośnicy na zawsze utraconej, z dniem wczorajszym porównać dzień dzisiejszy — a wtedy westchnienie pierś mu poruszało i nieraz łza bólu na siwych rzęsach zawisała. Przyzwyczajony do wygod, nie umiał się zgodzić z położeniem obecnym. — Drażniło go wytarte futerko żony, z ust skrzywieniem odsuwał od siebie talerz polewki grochowej i choć nie narzekał głośno, nie sarkał, widać było, że niedostatek ten go męczył. Często, jakby przez zapomnienie, wydobywał pugilares i szukał w nim sumy większej, którą znaleźć był powinien — brał do rąk kilkakrotnie rubla papierowego, wytrząsał drobną monetę, liczył, wzruszał ramionami i chował napowrót pieniądze z nerwowym jakimś ruchem palców. Jadwiga widziała to wszystko, a wtedy gniewna była na siebie, że zarabia tak mało, że nie umie się ludziom podobać, że umykają przed nią lekcye tak płatne dobrze jak u pani Jarockiej lub Porczyńskiej. Teraz się już wszystko zmieni — musi tylko uleść kaprysom tych pań, zgodzić się z ich przesadami. — Ha! — to trudno! Życie tak się ułożyło, że bez ustępstw pewnych, bez zbroceń małych z szerokiego gościńca, do celu dojść nie można.

Rzucając Fokiewiczów nie zostawi tam w sercach uczennic swoich żalu wielkiego po sobie. Między nią a niemi harmonii nigdy nie było; dziewczęta były uparte i krnąbrne, nie przywiązały się wcale do nauczycielki, którą nie dla ich dobra, lecz na utrapienie chyba ojciec „wypisał” dla nich. Pannie Jadwidze żal trochę było Józka Dudkowskiego, lecz okoliczności tak się składają, że musi z Dudkowskimi zerwać. Tego wymaga stanowczo pani Porczyńska, wierząca w urodzenie i krew.

Jadwiga czuje, że robi pewne ustępstwo z przekonań swoich, ale do tego ją zmusza siła okoliczności. Widzi wyszarzane futerko matki, słyszy tłumione ojca westchnienie i narzekania codzienne Janczewskiej. Opuszczając Sośnicę i przenosząc się na bruk miejski, z uśmiechem tuliła głowę zropaczonemu ojca do swojej pierśi; czuła, że ciężar życia na jej barkach spocznie, lecz tego nie lękała się ciężaru; z czoła rodziców rozpędzała chmury niepewności, czuła się młodą i silną, przyrzekła pracą chleb zdobyć, troski rozpędzić, zwalczyć przeszkody wszelkie i — gdy Gustaw powróci — z uśmiechem dumy zwrócić się do niego i powiedzieć:

— Widzisz! — czekałam, nie ugięłam się pod krzyżem życia, nauczyłam się pracować.



Początki były trudne—dzisiaj, choćby przez wzgląd na opiekę rodzicom przyrzeczoną, nie może nie zgodzić się na warunki położone jej przez panią Porczyńską, płochą ręką odtrącić od siebie uśmiech przyjaznego losu, nie podzielić się z rodzicami wiadomością pomyślną. Mrok zapadł, ale Jadwigi nic nie obchodziło w tej chwili szary cień zimowego wieczoru, nie czuła nawet, że małe płatki śniegu padały na twarz jej, do żrenic się przyczepiały i na rozpalonych policzkach zmieniały się w krople rosy chłodnej. Zapalały się latarnie miejskie, śnieg coraz gęstszy sypał, chodniki stawały się śliskie i coraz miększe, bielsze, że stopy idącej grzęzły nieraz w zimnym puchu ścielącego się śniegu.

Zbliżała się godzina lekcji u Dudkowskiego, — nie zapomniała o niej Jadwiga, lecz iść nie miała zamiaru.

— Jutro napiszę list do pana Onufrego—szepiała,—że różne okoliczności przeszkadzają mi do niego przychodzić.

Nie daleko już do mieszkania szewca, ale nie zajrzy tam nawet, minie, przejdzie na drugą stronę chodnika, żeby jej czasem Józiek nie zobaczył i nie zatrzymał gwałtem.

Miała już zamiar swój wykonać, ale o parę kroków przed sobą zobaczyła gromadkę wyrostków idących szybko, zacierających ręce od zimna, rozprawiających jednak zawzięcie. Niektórzy z nich mieli ciepłe czapki na głowach i jakie takie okrycie, byli jednak i tacy, którzy oprócz wytartych surducików żadnego innego odzienia na sobie nie mieli, spodeńki nawet nie dochodziły do kostek, a powykrzywiane obcasy u butów źle o całości ich mówiły. Wyrostków było siedmiu, pomiędzy którymi rej wodził Józiek, poprzedzało zaś ich dwóch starszych chłopaków w wieku młodzieńczym, słuchających uważnie opowiadającego im o czemś Andrzej. Józikowi raz w raz przerywali malcy rzucaniem pytań, Andrzejowi nie przeszkadzali starsi. Mówiono głośno, a że wciąż wybiegało imię panny Jadwigi lub panienki Jagulki — idąca za nimi właścicielka tego imienia, ciekawa była posłuchać prowadzonej rozmowy.

— Aj, Józiek, toć ciekawości nad ciekawościami być muszą!—mówił jeden z wyrostków.

— A myślisz, że nie?...—odpowiedział Józiek. Jak panna Jagulka zacznie nam opowiadać i opowiadać, to ci dech w piersi rozpiera, a w sercu, niby kto jagodę malinową rozduśił, tak słodko jakoś i różowo zarazem. Czasem tak serdecznie się zrobi, że ci powieki zamrugają i człek, niby dzieciak, beknie. Ale co ci powiadać, Walek, i wam wszystkim—zobaczycie sami i posłyszycie jakie to slichności rozpowiadać nam będzie panna Jagulka.

— Ale słuchaj no, Józiek!—odezwał się inny.—Ociec twój płaci za ciebie, to tobie słuchać można, ale na nas może panienka i spojrzeć nie zechce.

— Głupi ty, Maciuś—i już!—odezwał się Józiek. Panna Jagulka nie taka pani, co to na biedaków z góry patrzy. Ona powiedziała nam raz, że jej narzeczony—ja tobie mówił, gdzie on jest i dla czego on tam jest—pozostawił przykazanie, żeby ciemnych ludzi pokochoła i rozświecała im w głowie. Ja ci mówię, Maciuś, co u mnie teraz słoneczko jakieś w głowie świeci, a w sercu tak jakoś ciepło, że tego opowiedzieć nie można, samemu tylko odczuć potrzeba.—Zobaczysz, że i tobie tak będzie, a i książka ci zapachnie, jak róża, że wszystkie psie figle ze łba ci wylecą, a jeno cudowna bajka, jak malowanie, ciągle przed oczyma stać ci będzie. Chodź ino tylko!

I pociągnął swojego kolegę za poję od surduta.

— Ta idę—choć lęk mnie bierze a ciekawość pali.

— Lęku się zbędziesz, a ciekawości przez życie całe nie stracisz, bo ona co godzinę tak rośnieć będzie, jak żdzbelko zielonej trawki, co to pod wiosnę z ziemi wyjrzy.

Chłopcy otulali się od zimna, bo śnieg stawał się coraz ostrzejszy i mroźny wiatr dmuchał,

lecz spieszyli, gnani ciekawością, rozpaleni opowiadaniem Józka.

Podczas tej rozmowy chłopców, parę razy do uszu Jadwigi dobiegły słowa Andrzeja zwrócone do starszego towarzysza:

— Ja inny jestem od kiedy panna Jadwiga zaczęła przychodzić do nas, i lepszy jestem; takim i ty będziesz, Tomek, bo dowiesz się, że byli ludzie wielcy choć w biednym znajdujący się stanie; dowiesz się o królach i panach, rycerzach i wojnach, o tem wszystkim się dowiesz, o czem nie śniło się ani mnie ani tobie, a co już śnić się będzie nowonarodzonym. — Panna Jadwiga—widzisz, Tomek, to ja ją sobie tak przedstawiam... Panna Jadwiga jest jakby wróżka, czy duch biały, co niesie kaganek w rękę i ciemności oświeca. Gdyby ty wiedział, jak teraz chłopcy u nas pracują, jak jedni drugim zasłyszane historie opowiadają, jak nawet mój ociec do pocięgła rzadko się bierze, a mówi, po każdym wyjściu panienki: „Ot, i stary nauczył się czegoś.“ — A za nią czar wchodzi, a po niej czar zostaje, jakby przynosiła niebo z sobą i zostawiała niebo po sobie... Spiesz, Tomek, ona nadejdzie zaraz z czarem swoim i niebem swoim...

Chłopcy znikli na zakręcie ulicy, przycichły ich głosy uwielenia, a panna Jadwiga stanęła nieruchomie, o róg kamienicy oparta, na oczach mając łzy.— Usta drżały, pierś falowała szybko, za myślami myśli biegnęły, uderzały o siebie, rozpryskiwały się, jakby jakiś bój z sobą wiodły. Przypominała sobie rozmowę z panią Porczyńską, radość z otrzymanego u niej zajęcia, dającego jej możność przybycia rodzicom z pomocą.— a oto w jej uszach zabrzmiały słowa Gustawa przez Józka przypominane: „Ukochaj maluczkich!“ a oto Andrzej do białego ją ducha porównał, niosącego kaganek w rękę oświecający ciemności. Wiatr śniegiem miotał, a gromadka chłopaków odartych śpieszyła do izby pana Onufrego, gdzie za chwilę miał czar wejść, niebo zostać, ożywcza kropla prawdy wsączyć się w usta spragnione tej prawdy.—I znowu coś się w jej duszy rozdziwiło: Ojciec, matka i ta garstka chłopaków zacierających ręce od zimna, śpieszących po światło nauki; rodzina mniejsza i rodzina większa; dwa serca mieć potrzeba, a w piersi jej biednej bije jedno tylko!...

Jadwiga mocowanie się dwóch sił czuje we wnętrzu swoim; chwieje się na lewo, na prawo — choć jedna tylko droga jest przed nią. Wreszcie wyprostowała się, wstrząsała i krokiem szybkim naprzód pobiegła.

— Panna Jagulka! — dał się słyszeć wesół okrzyk Józka.

W natłoczonej już izbie szewkiej ruch się niezwykły zrobił, chłopcy nowoprzybyli podnieśli głowy, ciekawemi oczyma patrząc na stojącą w drzwiach pannę Jadwigę.

— Czar!—szepnął Andrzej.

— A widzita, smyki — zawołał Józiek, — że choć śnieg pada i wiatr wieje, panna Jagulka przyszła!

Za kolana ścisnął, całował rękę nauczycielki, która chwilę stała, jakby ze snu zbudzona, a później, kładąc rękę na głowie Józka, rzekła z powagą dziwną:

— Przyszła i zawsze przyjdzie do was!...

Nigdy jeszcze z ust Jadwigi nie płynęły słowa tak równo i płynnie, nigdy jeszcze oczy blasku tyle, twarz rumieńców tyle a usta tak koralo-wej barwy nie miały, jak teraz, gdy usiadła na małym zydelku, mając u nóg swoich leżącego Józka, a przed sobą gronko znajomych już i nieznanym jeszcze słuchaczy.

Józiek, oparty łokciem o kolana nauczycielki, z bródką położoną na dłoniach, z rozognionemi ciekawością dziecięcą oczyma śledził ruch każdy spojrzeń panny Jadwigi. Nie mniejsze zajęcia widać było i w twarzy Onufrego, którego czoło marszczyło się czasem, wypogadzało się czasem, co zależało od myśli jakie przebiegały przez mózg zasłuchanego szewca. Andrzej, jak zwykle, stał przy oknie o futrynę oparty, a wyraz twarzy miał taki, jakby nie widział nic i nic nie słyszał, uniesiony harmonią słów prelegentki,

które mu najpiękniejszą muzyką były, w światlinny, czy zaświaty wszystkich ziemskich światów. Ogniem paliły się mu oczy, ogniem policzki płonęły, usta gorzały ogniem. Zdawało się, że w nieruchomej piersi nie było tchu, że serce stanęło, że duch w słoneczność jakąś uleciał, zostawiając jako jedyną pamiątkę po sobie, tylko ten ogień krwi, który był wiązadłem łączącym go jeszcze z powłoką cielesną. Spojrzenie utkwiał w Jadwigę i patrzył jak w zjawisko niewidziane dotąd; Jadwiga widziała to spojrzenie, zdawało się, że i ją ogień podobny ogarniał, bo ile razy spojrzęła na Andrzeja, rumieńcem silniejszym zapalały się i jej jagody, z ust biegnęły słowa gorętsze, a opowiadana bajka coraz wyraźniejsze, coraz rzeczywistsze przybierała kształty, z krain fantazyi na ziemię schodziła, roztaczając jednak przed słuchaczami obszerne, niewidziane dotąd widnokregi. Wyrostki i malcy, stojący naprzeciw Jadwigi, jak owieczki w jedną gromadkę zbici, z zapartym oddechem słuchali słów opowiadającej; czasem jakiś szelest zdziwienia lub zgrozy dał się słyszeć, czasem westchnęła pierś, ulgę czując.

Na ścianie zawieszony zegar liczył sekundy, minuty i kwadransy, wahadło się chwiało powoli, przy każdym uderzeniu godziny wagi osuwały się niżej. Ale nikt nie zważał na miarowe „tik—tak“ starego zegara, na poważny głos wybijanych godzin, a zegar już uderzył raz trzeci, trzy godziny życia ludziom zabierając.

Tak długo jeszcze nigdy nie przesiedziała panna Jadwiga w mieszkaniu Dudkowskiego. Po godzinnej nauce z Józkiem, poświęcała zrazu chwil parę chętnym słuchaczom, potem całą dawała im godzinę, lecz zawsze lekcy z Józkiem poprzedziła pogawędkę ze zwiększającym się z dniem każdym gronem słuchaczy. Dzisiaj, zaciekawieni opowiadaniem Andrzeja i Józka, ze stron różnych miasteczka zebrali się towarzysze od szydła i kopyta, otrzymawszy, oczywiście, w pierw pozwolenie panów majstrów. Gdy czas się dłużył, a żaden z malców nie przychodził, pan Kacper Hałaburda, nie lubiący niesubordynacyi, wzięwszy spory kawał rzemienia do kieszeni poszedł do Dudkowskiego po czeladników swoich. Wszedł niewidziany i przyłgął do ściany.

Zrazu mars ostry zarysował się na czole pana majstra, ale w miarę słów Jadwigi, gniewne wypogadzało się czoło. I jego zajęła bajka, i on zrozumiał treść jej, cel i doniosłość i zapomniał zupełnie o rzemieniu znajdującym się w kieszeni.

Gdy panna Jadwiga skończyła opowiadanie a chłopcy z hałasem wychodzić zaczęli—rozległ się wśród nich szept trwogi.

Zobaczyli pana Kacpra.

Ale ten szepnął:

— Zrozumielście smyki?... a pocałowaliście rękę dobrodziejki?—Na lewo—zwrót i mlasną podziękowanie, ażebym ja tu słyszał.

A wtedy hałas wszczął się niebawym, chłopcy pogarnęli się do panny Sośnickiej. Stała wyniosła jak topola, śliczna jak myśl, która kierowała jej kroki do tej izby pana Onufrego, kładąc na czołku dziatwy młodszej pocałunki, starszych obdarzając serdecznym uściskiem ręki. Posunął się i pan Onufry,—i pan Kacper z komplemmentem wyjechał.

Andrzej stał nieruchomy, zwracając się za panną Jadwigą jak kwiat słonecznikowy za słońcem.

Gdy pan Onufry, odprowadził pana Kacpra do przyległego pokoju, coś mu szepcąc na ucho; gdy gromadka wyrostków z Józkiem na czele zaczęła tłumnie a gwarnie wychodzić, a i panna Jadwiga krok ku drzwiom zrobiła—Andrzej drgnął nagle, poruszył się i podchodząc szybko do Jadwigi, jakimś dziwnym, gorączkowym ruchem, lekko za palce ją ujął.

Jadwiga spojrzęła na Andrzeja.

Drżał, a żar bił od niego.

— Panie Andrzeju — szepnęła nauczycielka...

Andrzej obejrzał się szybko, a widząc, że pokój był pusty, drzwi tylko nie przymknięte—podbiegł, drzwi przymknął—i stanął przy nich,



jakby nieprzytomny czy opętany siłą, z którą już walczyć nie mógł.

— Panie Andrzeju!...—powtórzyła Jadwiga.

Andrzej zachwiał się—zrobił krok naprzód i runął na klęczki przed stojącą dziewczyną, silnemi spłotami rąk ogarnął jej nogi, a czoło do kolan przyciskając, łkać zaczął, zaciskając coraz silniej węzły swych ramion.

Skrepowana Jadwiga zaledwie ustać mogła.—Przysunęła więc stołek stojący o pół kroku i usiadła.

Andrzej nie wypuszczał jej z uścisków.

Z zapomnieniem zupełnem, z wzrastającym coraz szaleńczo kołysał głowę na jej kolanach, całował, upojony rozkoszą niewysłowioną.

Jadwiga nie wiedziała sama, co robić ma z sobą; zrazu nie zrozumiała nawet wybuchu rozbudzonej nagle namiętności, a słysząc płacz jakiś stłumiony, którego pobudką może były palące słowa jej opowieści, chciała, jak piastunka dobra, ukłosać płacz dziecka. Położyła więc rękę na głowie klęczącego u nóg swoich młodzieńca i palcami przeczesła mu włosy...

Andrzej drgnął, jakby pod wrażeniem iskry elektrycznej... Chwycił ręce jej obie, przytulił do czoła, skroni, ust i zaczął pocałunkami okładać. Wtedy jakiś przestach ogarnął Jadwigę, bo usta Andrzeja gorące były, pocałunki paliły jak żar. Podniosła się, jakby uciekać chciała, ale znów ją opłotły ramiona Andrzeja, który czoła nie odrywał od jej kolan, przyciskał coraz mocniej, całował coraz gwałtowniej...

— Co tobie jest, chłopcze?...—zawołała w głos prawie—i silnym ruchem ręki odtrąciła niepamiętającego o niczem...

Wstał—jak senny... Opamiętał go dopiero gniewny wyraz twarzy Jadwigi i dźwięk głosu jakiegoś nie słyszał jeszcze. Spojrzał na nią i zbladł...

— Co to jest?—powtórzyła.

— Ja nie wiem... nie wiem!—wyszeptał, przychodząc do siebie.—Proszę mi przebaczyć, proszę nie patrzeć tak na mnie... bo ja—ja życie sobie odbiorę...

Teraz rozumiała Jadwiga dramat cały jaki w tej chwili odegrywał się w duszy młodzieńca; rozumiała potęgę rozbudzonego pod jej urokiem uczucia—nieświadomą jeszcze siebie siłę, która Andrzeja z nóg zwała i do jej kolan przycołgać się kazała. W słowach Andrzeja nie widziała groźby marnej, lecz rozpacz, że dał się unieść, silniejszemu nad rozum, nad wysiłek woli wszystkiej—popędowi. W słowach tych strach także przebijał, by gniew nie zaplanował w Jadwigi sercu; jakiś wstyd teraz palił policzki nieszczęśliwego młodzieńca, jakiegoś pragnienie, by ziemia się pod nim rozpadła, by mógł się usunąć w otchłań, w nicość i zginąć na wieki.

Zartować nie można z sercem, nie można igrać z uczuciem, które po raz pierwszy, w czystej jak lza, białej jak kwiat liliowy, rozwinęło się duszy Andrzeja. Popchnął go szal nieświadomej miłości.—W chwili takiej grzech nie byłby grzechem i przebaczenie uzyskuje się łatwo. Cały świat tajemnic, cała głębia duszy ludzkiej—przed Jadwigą otworem teraz stała. Nie miała prawa sądzić, nie miała prawa patrzeć dłużej czołem zmarszczonem. To też uśmiech poważny na usta jej zawitał, w oczach ogromne spojrzenie dobroci,—które, jak balsam dobroczynny, na Andrzeja podziałało... Poruszyła tylko główką i rzekła:

— Panie Andrzeju—niech to się nigdy już nie powtórzy, jeżeli chcesz, bym przychodziła tutaj.

— Nigdy... przysięgam... nigdy!—wyszeptał Andrzej.

Zrobił krok jeden, drugi—chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zachwiał się i opierając się o piec, ścianę, usunął się na ziemię omdlały.

Panna Jadwiga skoczyła do drzwi, otworzyła i na głos krzyknęła:

— Wody!...

Ale Onutry, zajęty zamykaniem sklepu nie słyszał wołania, Józka nie było, z towarzyszymi gdzieś wyszedł—chwyciła więc dostrzeżoną karkafkę wody stojącą na stole, drżącą ręką wlała

do szklanki i parę bryzgów rzuciła na pobladłe czoło Andrzeja.

Odetchnął—a widząc klęczącą przed sobą Jadwigę, ujął jej rękę, do ust przycisnął i szepnął...

— Niech się panna Jadwiga na mnie nie gniewa...

— Nie—nie... ale proszę o moich słowach pamiętać.

— Będę—odpowiedział,—podnosząc się.

Był z sił wybity—na twarzy rumieńce miał gorączkowe i drżał lekko.

— Dobranoc tobie, chłopcze!—rzekła panna Sośnicka. A proszę pamiętać—dodała, grożąc z uśmiechem.

— Ale panna Jadwiga nie będzie się na mnie gniewać?—powtórzył.

— Jeżeli tylko będziesz grzeczny, mój chłopcze!

— I przyjdzie do nas?...

— Przyjdzie, przyjdzie—nie zechcielibyście chyba sami.

Andrzej się poruszył.

— Pani—szepnął... Czy to pani nie widzi, jak tu czekają na panią, jak się wszystko, a wszystko zmienia w duszach i sercach.

Panna zatrzymała spojrzenie swoje na drgającej uczuciem Andrzeja twarzy—później wzrok przeniosła na szare ściany mieszkania szewca...

Schludnie było i czysto—w ramach złoconych parę nowych obrazków pojawiło się, których przed tem nie było. I, wychodząc, raz jeszcze szepnęła Jadwiga:

— Przyjdź!

(Dalszy ciąg nastąpi).

## BAJKA.

OBRAZEK SCENICZNY W JEDNEJ ODSŁONIE

przez

Andrzeja Niemojewskiego.

OSOBY:

Licencjat.	} Postaci fantastyczne.
Młodość.	
Szczęście.	
Życie.	
Śmierć.	

(Gaj. W środku studnia, z której wystaje drabina. Po prawej róg domu w stylu gotyckim; ostrołukowe drzwi i okno. W głębi widok na staroświeckie miasto.—Upalny ranek i cisza. Młodość w postaci prześlicznej rusalki wychyla się ostrożnie z za drzewa, podchodzi do studni i zagląda w głąb).

**Młodość.** Co ten człowiek w studni robi? O ciepłym poranku schodzić do takiej (otrząsa się) zimnej studni! Nie, nie mogę tego pojąć! Już zestąpił po drabinie na dno, na samiuteńkie dno! (Cofa szybko głowę). Patrzy do góry. (Zagląda znowu ostrożnie i cofa się pośpiesznie). Zadarł głowę do góry i patrzy! Że go też szyja nie zabolil! Eh, to jakiś dziwak! Dziś niema na świecie ludzi a ci, co są, to mumje!

(Z krzewu leszczyny wychyla się Szczęście w postaci drobnego pacholecia o motyliach skrzydełkach u ramion. Młodość usłyszawszy szelst leszczyny obraca się z lekkim przestachem i wydawszy okrzyk chce pierzchnąć).

**Szczęście.** Nie pierzchaj, cudna rusaleczko!

**Młodość.** Kto ty jesteś?

**Szczęście.** Ja jestem szczęście. A ty kto jesteś?

**Młodość.** A ja jestem młodość.

**Szczęście** (z przyjemnem zdziwieniem). Ah!

**Młodość** (tak samo). Ah!

**Szczęście.** A chciałaś pierzchnąć przedemną? Widzisz!

**Młodość.** Pokaż no się, jak ty wyglądasz?

**Szczęście.** Ach, strasznie lekko wyglądam! Dmuchać jeno (dmucha) i zaraz jak puch ulatuje! Nie dmuchaj, cudna rusaleczko!

**Młodość** (przypatrując się ze wszystkich stron Szczęściu). Wiesz, ładne jesteś, wcale ładne! Takie masz śliczne skrzydełka! Pozwól, dotknę.

**Szczęście.** Oj, oj, oj, nie dotykaj jeno, bo otrzesz z nich pyłek i stałoby się wielkie nieszczęście dla całej ziemi!

**Młodość** (zaciekawiona).. Cóż by się stało? Czy coś ciekawego?

**Szczęście.** Ach, byłoby na ziemi gorzej jeszcze niż teraz jest!

**Młodość.** A gdzie ty mieszkasz, że nigdy ciebie spotkać nie mogłam?

**Szczęście.** W mysiej dziurze, rusaleczko!

**Młodość.** W mysiej dziurze? To ci tam, biedactwo, strasznie ciasno! Czemu kryjesz się po mysich dziurach?

**Szczęście.** Bo mnie dziś nikt z ludzi nie chce.

**Młodość.** Jakto: nie chce! Co ty gadasz, śliczności!

**Szczęście.** Ci ludzie sami nie wiedzą, czego chcą. Niby to ciągle wdychają i szepczą: „Ach, Szczęście, Szczęście, gdzie jesteś? Przybywaj!” Zlatuję ku nim jak motylek a oni mnie nawet nie spostrzegają. Dopiero potem pokazuje się, że jeden chciał pieniędzy, drugi zaszczytów, trzeci spokoju przed swarliwą żoną... i wtedy odlatuje jak niepyszny. Zmachałem tylko niepotrzebnie skrzydełka, aż mnie stawy boją! (Dotyka bolących miejsc u osady skrzydełek).

**Młodość.** O biedne ty moje śliczności! (wzdycha). Ze mną tak samo!

**Szczęście.** A ty gdzie mieszkasz, rusaleczko?

**Młodość** (wskazując na niebo). Pod bożym dachem, bo z pod ludzkich mnie wypędzają!

**Szczęście.** Eh, chyba żartujesz! Znam przecież ludzi jako tako i wiem, że oni wprawdzie wszystkim umieją wzgardzić, gdy jeno zechcą. Lecz ładną dziewczyną... Daruj, o takim wypadku nie słyszałem!

**Młodość.** Widzisz, ty tego nie rozumiesz. Nie należy mieszać jednego z drugim. Ja jestem Młodość a nie Dzieciństwo i nie Starość. Dzieciaki nieznośne i starce płocze ciągle za mną ręce wyciągają, lecz młodzież niestety znać mnie nie chce. Błąkam się, skradam, zaglądam w oczy wszystkim dwudziestolatkom... brrmm... ló! Ale niech no któremu czub posiwieje; oho, wtenczas odpędzić go od siebie nie mogę.—Wiesz, śliczności, dziś niema ludzi na świecie!

**Szczęście.** A ci, co są, to do niczego!

**Młodość** (płaczliwie). Biedni my.

**Szczęście** (tak samo). Biedni my, cudna rusaleczko.

(Zwieszają smutnie głowy. Po chwili grzmi zlekka).

**Młodość.** Co to? Słyszałeś?

**Szczęście** (mocno zaniepokojone). Ach, skryć się, skryć!... Gdzież ta mysia dziura?

(Biega trwożnie w okółko szukając kryjówki).

**Młodość.** Czegóż się tak nagle ulakłeś? Nie pierzchaj, powiedz!

**Szczęście** (zatrzymując się). To pewnie idzie ten kościsty, obrzydliwy starzec...

**Młodość.** Jaki starzec?

**Szczęście.** Kościsty, z zapluta brodą, paskudny cynik...

**Młodość.** Ależ kto?

**Szczęście.** Życie!

**Młodość.** Nazywa się życie?

**Szczęście.** A tak, tak się nazywa ten obrzydliwiec! Wszędzie włazi i zewsząd mnie spędza.

**Młodość.** Bardzo pragnęłabym go poznać. To musi być coś nader ciekawego!

**Szczęście.** A uciekaj przed nim za góry i lasy, rusaleczko, bo jak go zobaczysz, to sama sobie obrzydnie!

**Młodość.** W takim razie nie chcę go poznać.

**Szczęście** (rozglądając się). Nie grzmi już. Więc tu jeszcze nie podąża. Ah, aż mi lżej! Bo dla kogoś, co ma takie skrzydełka jak ja, kryć się wciąż po mysich dziurach...



**Młodość.** Dobrze, żeśmy się poznali. Podajmy sobie ręce.

**Szczęście.** Podajmy.

**Młodość.** I puśemy się młynka.

**Szczęście.** A puśemy!

(Puszczają słę młynka i rozlatują się po kilku obrotach. Młodość siada na ocembrowaniu studni).

**Szczęście.** Ah, lepiej mi! Wiesz, czasem doprawdy to nawet niema z kim pogadać. A i ty mi-lutko wyglądasz. Oj, głupi, głupi ludzie! Takie cudo i nie poznać się na niem! Czemu ty do tej studni zaglądałaś? Co tam jest?

**Młodość.** Dziwak, jakiego świat nie widział. Wczoraj zaszedł pod tę lipę (wskazuje) z tyła miarką (wskazuje) i zaczął mierzyć wszystkie liście. Dziś znowu spuścił się po drabinie do studni, zadarł głowę do góry tak (naśladuje) i patrzy w niebo. Tam w tem oknie (wskazuje) siedzi do późna w noc i grzebie w książkach. Kilka razy podchodziłam cichutko i gałązką drażniłam go w ucho. Ani poczuł! Nieco potem przywabiałam słowika i kazałam mu śpiewać a sama zaczęłam nucić jak mogłam najładniej. Wtedy wstał, zapchał sobie uszy watą i siadł znowu nad szpargałami. Zgadnij, ile on ma lat?

**Szczęście.** Sto, dwieście, trzysta...

**Młodość.** Dwaściecia i pięć!

**Szczęście** (oburzone). Aaaaah.

**Młodość.** Tak, tak!

**Szczęście.** W takim razie nie tu po nas!

**Młodość.** Czekaj, weźmiemy się do niego! Ja mu dam! Prosiłam słoneczka, aby dziś dobrze przygrzewało a wiatry, aby sobie poleciały na morza. Czy czujesz, jak jest parno? To go znużył! Wtedy zabiorę się znowu do niego.

**Szczęście.** Drabina trzeszczy, uciekajmy!

**Młodość.** Ach! (zrywa się). Byłby mnie zobaczył! (do Szczęścia). Nie uciekaj daleko!

**Szczęście** (rozkrzyżowawszy ręce). Cóż ja pocznę z takim dziwadłem!

**Młodość.** Ej, nie wiemy jeszcze. Zawisnij gdzie blisko na jakiej gałęzi.

**Szczęście.** Ach, czuję już woń zatęchłej bibuły! Uhhhm... Nie wytrzymam!

**Młodość.** Tam pachną jaśminy, orzeźwisz się. Zawisnij wśród jaśminów i czekaj.

**Szczęście.** A no dobrze.

(Odlatuje i po chwili ukazuje się na drzewie jaśminowem, kołysząc się figlarnie. Młodość kryje się między krzewy. Ze studni wychyla się Licencjat z głową do góry wzniesioną, ręką nad oczami, które blask słoneczny razi).

**Licencjat.** Istotnie... istotnie... widziałem ją o tej porze na niebie. Więc książka nie kłamała. Lecz tem samem upada jedna teza w mojej rozprawie doktorskiej i mam ich tylko jedenaście. Trzeba koniecznie wymyśleć dwunastą. Dwanaście to cyfra okragła. Tu chodzi o stopień doktora! (pociera czoło). Całkiem wysechł mi mózg od tego ślęczenia! Gdzież się podziały twórcze siły mego wieku! Myśli, gdzie bujne skrzydła wasze! (staje na ziemi i opiera się plecami o cembrowinę). Ach, dwunastej tezy!... Powiadają, że prawdziwy polot ducha ma tylko Młodość. Gdzież więc jesteś, Młodości?

**Młodość** (z ukrycia). Tu jestem!

**Licencjat** (obejrzał się). Kto to mówił?!... Już mi się to kilka razy wydarzyło!... Hm, trzeba się będzie chyba stąd wyprowadzić,

**Młodość.** Wszędy pójde za tobą!

**Licencjat** (zaniepokojony). Doprawdy... ktoś się odzywa... Nie badałem podobnych zjawisk... A może one dałyby mi tę przeklętą dwunastą tezę?!

**Młodość.** Ja jestem tezą niezbitą!

**Licencjat.** Co? Tezą niezbitą? Przecież całkiem wyraźnie słyszałem! (rozgląda się, po chwili macha ręką). Eh, sam ze sobą gadam! Do roboty! Marnuję drogocenny czas i nic więcej. Ta cisza upalna tak jakoś ubezwładnia. Trzeba się przemódz! (Rusza do okna, opiera się na framudze, bierze książkę i przerzuca karty). Tyle książek przeżuć i wszystko na nie! Jedenaście też to jak liszka bez ogona. Jakoś niepełno. Jak gdyby nie wystarczyło. Dwanaście to całkiem co innego. To wygląda tak, jak gdyby w zana-

drzu było ich daleko więcej, tylko umyślnie się tyle podało. Wszak żyjemy w wieku pytań. Pytania jak mgły otaczają nas, ilekroć chcemy coś zobaczyć. Jak mgły! Lecz gdy pytamy o te pytania, mgły nagle ulatują i robi się prze-różliwie jasno, strasznie nieuczenie jasno! (Młodość wychyla się z krzewów, siada na ocembrowaniu studni w miejscu, gdzie pierwszej on siedział, wpatruje się w niego i zaczyna nucić).

Jak parno! Po raz pierwszy w życiu wypada mi książka z ręki i czuje do niej obrzydzenie. Coś mi tylko po głowie chodzi, czy śpiewa... śpiewa!... Nigdy takiego śpiewu w głowie nie słyszał, w mojej własnej, uczonej głowie! Bo to przecież w głowie!... Przytem ogarniają mnie uczucia, które z nauką nie wspólnego nie mają... Trzebaby się orzeźwić czarką wody studziennej. Ten upał przypina mi osłe uszy (rzuca książkę o ziemię). Cóż u licha! I ta książka zaczyna śpiewać! (patrzy na leżącą książkę). Śpiewa, dalibóg śpiewa! Zmyję głowę w studni zimną wodą.

(Odwraca się i rusza ku studni a ujrawszy siedzącą na niej Młodość staje zdziwiony, przeciera kilkakrotnie oczy, jak gdyby im nie dowierział).

Hm... Osobliwe... Skąd się ty tu bierzesz?

**Młodość.** Wzywałeś mnie (nuci dalej wpatrując się w niego).

**Licencjat.** Ja? Ciebie? Kiedy?

**Młodość.** Przed chwilą (nuci dalej).

**Licencjat.** Przed chwilą? Co to było przed chwilą?... A kto ty jesteś?

**Młodość.** Wzgardzona przez ciebie istota (nuci dalej).

**Licencjat.** Więc jesteś istotą?

**Młodość.** Czasem przywidzeniem (nuci).

**Licencjat.** Więc kto ty jesteś właściwie?

**Młodość.** Ja nie wiem, czy ja dziś właściwie jeszcze jestem!

**Licencjat** (z zapalem). Jesteś zbyt piękną, abys miała nie być!

**Młodość.** W takim razie jestem tezą niezbitą! (nuci wesoło).

**Licencjat** (składając ręce). Kto jesteś, przepiękna tezo?

**Młodość** (z siłą). Ja jestem Młodość. (Milczenie. Po chwili zaczyna znowu nucić).

**Licencjat.** Młodość?!... Może moja Młodość?!... Bo ja nie miałem dotąd swojej Młodości! Nawet nie przypuszczałem, aby ona mogła być tak piękną!... Daj mi się zbliżyć... Czy ty jesteś doprawdy?? (zakrywa oczy). Może ciebie niema? Jeżeli niema, to powinienem cię widzieć zakrytemi oczyma... Nie widzę! (odsłania oczy). Teraz widzę, widzę na pewno! Jesteś doprawdy!

**Młodość.** Jestem doprawdy. Dotknij! (nuci).

**Licencjat** (wyciągając rękę z wahaniem). Dotknąć?!... Ciebie dotknąć?!

**Młodość.** O, tu dłoń (on dotyka). Tu łokieć, tu już ramię.

**Licencjat.** Tak... tak... a za każdym dotknięciem przebiega po mnie od stóp do głów...

**Młodość.** Prawda? (nuci dalej, mówiąc na przemian). Tu ramię... Tu już szyja... A tu także... Dotknij tylko...

**Licencjat.** Jesteś! Czuję, że jesteś! To nie problemat, to oczywistość podpadająca pod zmysł! Oczarowałaś mnie a raczej zaczarowałaś! (śmieje się nerwowo). Jak ja się wyrażam nienaukowo, co? (chwytając ją za obie ręce).

**Młodość.** O, mnie to wszystko jedno!

**Licencjat.** Tak, ty mi to wybaczysz, bo ty jesteś Młodość a Młodość na to nie zważa!

**Młodość.** Ale wszystko potrafi osiągnąć!

**Licencjat.** Wszystko?

**Młodość.** Wszystko!

**Licencjat.** A zatem mając ciebie mam wszystko?

**Młodość.** Masz wszystko!

**Licencjat** (namiętnie). Więc chcę mieć ciebie zawsze!

**Młodość** (zalatnie). Ooo, to znowu inna sprawa!

**Licencjat.** A od kogóż to zależy?

**Młodość.** Trochę od ciebie, trochę nie od ciebie.

**Licencjat.** Z tej trochy, która odemnie zależy, uczynię wszystko! Ja ciebie uwielbiam! (osuwając się na kolana).

**Młodość.** To doprawdy już bardzo wiele. Jeżeli mnie tylko szczerze uwielbiasz, zdobędziesz świat!

**Licencjat.** Zdobędę świat? Wiesz, przede wszystkim zdobyłem już dwunastą tezę, którą sprawdzam na sobie samym. Tylko młodość zdobywa świat! Pierwej tego nie wiedziałem. Zdobędę świat!

**Młodość.** Już go zdobyłeś!

**Licencjat** (z uczuciem lekkiego zawodu). Jakto, już??

**Młodość.** Tylko nie zarzucaj mnie pytaniami, bo będę musiała opuścić ciebie (stara się wyswobodzić z jego objęć).

**Licencjat** (przestraszony). Dobrze, dobrze, to już nie będę pytał, chociaż to bardzo nienaukowa historia. Tylko mi nie uchodź, bo bym zmysły stracił. Zdobylem świat, zdobyłem!

**Młodość.** Tak! Zdobyleś świat, zdobywając Młodość!

**Licencjat.** Niema jak zdobywać świat a przy najmniej w tak pięknej osobie...

**Młodość.** O czem mówisz?

**Licencjat.** Kiedy nie wiem, czy wolno...

**Młodość.** W moim imieniu wszystko wolno!

**Licencjat.** Ale—czy i z tobą wszystko wolno?

**Młodość.** Chcesz zdobywać świat?

**Licencjat.** ...także... Ale teraz...

**Młodość.** Wolisz co innego? Dobrze! Z całym zapalem!

**Licencjat** (znowu z uczuciem zawodu). Już i z zapalem? Ty się do wszystkiego tak łatwo zapalasz?

**Młodość.** A do wszystkiego!

**Licencjat.** A gdzież w takim razie konsekwencya?

**Młodość** (żałośnie). Odpędzasz mnie, luby. Jakąż ci krzywdę wyrządziłam? (chce odejść).

**Licencjat.** Czekaj!... Ja ciebie odpędzam? Wielkie bogi! Ależ ja pragnąłbym ciebie na zawsze zatrzymać w tych ramionach (zrywa się z kłęczek i obejmuje ją).

**Młodość.** To nie mów więcej o jakichś tam konsekwencyach!

**Licencjat.** Dobrze, wybornie, świetnie, pal dyabli wszystkie konsekwencye, nie chcę o nich wiedzieć! Mam ciebie a mając ciebie, mogę wszystko i basta! Ot mi konsekwencya wszystkich konsekwencyi!... Oj, to już jak gdyby trzy-nasta teza... A ileż ich niesie Młodość?

**Młodość.** Znowu mówisz niezrozumiale.

**Licencjat.** To będę mówił wyraźniej. Wiesz co, zostawmy sobie tedy zdobywanie świata na później, wszystkie takie rzeczy na później, zwłaszcza gdy z tobą to tak łatwo idzie... A teraz... Lecz znowu nie wiem, czy wolno...

**Młodość.** Młodość o to nie pyta!

**Licencjat.** Ależ w takim razie ta Młodość to pyszna rzecz! Wiesz co jabym teraz chciał?

**Młodość.** Czytam trochę w twoich rozmarzonych oczach.

**Licencjat.** Tegoby nikt inny nie wyczytał, tylko ty jedna! Ja teraz chciałbym, wiesz, chciałbym... kochać!

**Młodość.** Kochaj więc z całym zapalem!

**Licencjat.** Bo to lepiej naprzód kochać a potem świat zdobywać. Jak się bierze najpierw do zdobywania świata, to gotowa potem odejść ochota od kochania.

**Młodość.** Tamto jest niezbitą prawdą, ale i to jest niezbitą prawdą.

**Licencjat.** To może ty wygłaszasz same niezbite prawdy?

**Młodość** (z głębokim przekonaniem). Same niezbite prawdy!

**Licencjat.** Ależ ty jesteś paradna!

**Młodość.** I to jest niezbitą prawdą! Widzę, że się możemy pokochać.

**Licencjat** (patrzy jej w oczy). Kochać, kochać! Ach, teraz tylko kochać, och, kochać. To chyba kwiat życia!

**Młodość** (drgnęła). Życia?... Nie mówmy teraz o niem.

**Licencjat.** Dobrze, nie mówmy o niem, pal je dyabli, górą kochanie! Kochanie to *nervus rerum*. Nie wiesz 'pewnie, co to jest *nervus rerum*, ale wiesz, co to jest kochanie. Ja tego dziś o wscho-dzie słońca także nie wiedziałem, ale przy tobie



człowiek jakoś wszystkiego sam przez się dochodzi.

**Młodość.** A widzisz, niecnoto? Czy wiesz, że ja tu od dawna zachodziłam pod okno? (obejmuje go za szyję). Tak, wzdychałam, szeptałam, nie słyszałeś i nie chciałeś słyszeć! Już myślałam, że jesteś dla mnie na zawsze stracony, kiedy zacząłeś się spuszczać do studni. Coś ty tam robił?

**Licencjat.** Oglądałem gwiazdy.

**Młodość.** Gwiazdy w biały dzień?

**Licencjat.** A tak. Mogę ci kiedy pokazać.

**Młodość.** Nietylko możesz, ale musisz! A pamiętasz jak to słowik śpiewał pod oknem i ktoś nucił? Zatkaleś sobie uszy watą a to ja byłam!

**Licencjat.** O ja głupi, głupi!

**Młodość.** A pamiętasz jak cię ktoś gałązką w ucho drażnił? Pamiętasz? Wiesz kto ci takiego figla wyplatał? To ja, niecnoto!

**Licencjat.** Ty, cudo mądrości?

**Młodość.** Ja, nieczuły człowieku!

**Licencjat.** Nie mów tak. Czuję w tej chwili jak gdybym miał w piersi tysiąc serc!

**Młodość.** I w tej chwili niczego więcej nie pragniesz?

**Licencjat.** Niczego więcej nie pragnę!

**Młodość.** To spojrzij tam!

(Ukazuje ręką. W czasie ostatnich słów podkradło się cichutko Szczęście, stanęło na studni, jedną rękę złożyło na głowie Młodości a drugą na głowie Licencjata i poczęło się serdecznie do nich śmiać).

**Licencjat.** Kto to jest ten jasny duch?

**Młodość.** To jest Szczęście.

**Licencjat.** To on przy nas?

**Młodość.** Widzisz jak się do nas śmieje!

**Licencjat.** A może to sen?

**Młodość.** Nie, nie sen. Dotknij się go.

**Licencjat.** Istotnie... Ręka... Noga... Aż uwierzyć trudno! To bardzo piękna rzecz Szczęście.

**Młodość.** Zwłaszcza gdy jest z nami!

**Licencjat** (wpatrzony w Szczęście). Z nami, tak!

**Młodość.** Wszak je czujesz?

**Licencjat.** Oh, czuję, czuję!

**Młodość.** Rozkoszuj się niem.

**Licencjat.** Słuchaj, ty piękne Szczęście! Czy ty zawsze będziesz ze mną i z nią (wskazuje na Młodość).

**Szczęście.** Chciałobym.

**Licencjat.** Chciałobym, nie chciałobym... To nie odpowiedź a przynajmniej nie odpowiedź logiczna.

**Szczęście.** Ach, bo ulecę, boli!

**Licencjat.** Co, gdzie boli? Czyś takie kručze?

**Szczęście.** Ja jestem bardzo a bardzo lekkie a jak na mnie dmuchniesz jakąś tam logiką, to mnie zaraz ponosi.

**Młodość.** Ze Szczęściem to tak nie można jak z tą waszą logiką, co to powiadają, stoi jak mur!

**Licencjat.** Gdzie ona tam stoi jak mur!

**Młodość.** Więc nawet nie stoi jak mur a odpędzasz nas nią!

**Licencjat.** Ależ mówię wam raz jeszcze! pal ją wszyscy dyabli! Nie chcę jej więcej znać, przysięgam uroczyście, że wszystkie jej reguły mam przy was... phy... za czczy dym... poprostu za nic... za coś, co głowy zagwałdzał! (do Szczęścia). Gdzie ty byłeś, precudne dziecię, że nigdy cię oczy moje nie widziały? Czemu nie niosły cię do tego okna te leciuchne skrzydełka twoje? Usychałem jak kwiat śród zielnika a ty nigdy nie zajrzałaś do mnie nieszczęsnego! Gdzież latałaś więc, gdzie?

**Szczęście.** Ach, musiałam siedzieć w mysiej dziurze! Każdy mnie odpędzał a i ty także!

**Licencjat.** I ja??

**Szczęście.** Może bezwiednie jak większość ludzi.

**Licencjat.** To ja, *in spe doctor philosophiae*, mówię ci i powiadam, że byłem wierutnym osłem, ślepym półgłówkiem *et caetera*. Ale teraz na cztery wiatry wyganiam z siebie głupotę i kocham cię bez granic, kocham, szaleję z tego kochania! Czuję cię namacalnie przy sobie i stwiam ponad wszelką mądrość!

**Młodość** (w upojeniu). On nasz, nasz, nasz!

**Szczęście** (klaszcząc w dłonie). Nasz, nasz, nasz, nasz!

(Śmieją się na całe gardło. Przeciągły grzmot, ściemnia się nieco).

**Szczęście i Młodość.** Co to? Co to? Co to? Co to?

**Szczęście.** Ach, uciekajmy, ach, ach!

**Młodość.** Drzęę cała!

**Licencjat.** Nic nie słyszę! Cóż się dzieje?

**Szczęście.** To on nadchodzi! Ach, uciekajmy!

**Licencjat.** Kto? Jaki on?

**Szczęście.** Ten paskudny starzec... To Życie!

**Licencjat.** A cóż mnie ten niedołęga obchodzi!

**Szczęście.** Ładny mi niedołęga! Strzeż się go, strzeż!

**Młodość** (do Szczęścia). Kiedy mi jednak tyle o nim mówisz, to zaczynam nabierać ochoty, aby mu się kiedykolwiek zbliżka porządnie przyjrzeć.

**Szczęście.** Oj, oj, oj, oj!

**Młodość.** Nie znam go.

**Licencjat.** I ja go właściwie nie znam, choć jestem filozofem.

(Grzmi bliżej).

**Szczęście.** On nas rozpędził! Uchodźmy! Nie zaglądalejcie mu w oczy! Jak wy tu zostajecie, to ja ucieknę!

**Licencjat** (wstrzymując Szczęście). Nie puszcze cię, nie puszcze! Musisz z nami pozostać!

**Młodość.** Trzymaj go, trzymaj, nie puszcжай! Trzeba się zdobyć na odwagę, niema rady!

**Szczęście.** Zimno mi... drzęę... brrrm... Jaki chłód ztamtąd idzie!... Brrrrm... Zmarznę... Boli, wszystko boli!

(Rozlega się w dali zrzędzący a tubalny głos).

**Młodość.** Śmiało, dzieci! Czola w górę! Nie znamy trwogi! Do nas należy świat! Zar w naszym łonie, polot myśli orli! Szczęście ujmijemy siłą i musi iść z nami!

**Licencjat** (do Młodości). Z tobą nie lękam się niczego!

**Szczęście.** Kiedy tak, to i ja się nie boję! Niech no tu przyjdzie to Życie! Spojrzymy mu śmiało w oczy, ha!

**Młodość.** Ręka w rękę, pierś przy piersi! My mu pokażemy, co to Młodość, co to Szczęście! co to prawdziwa filozofia! Spotkamy się z niem oko w oko!

**Licencjat.** Twarz w twarz!

**Szczęście.** Oko w oko! Twarz w twarz! Ho, ho, ho!

(Stają przy studni w postawie wyzywającej. Szczęście za nimi na ocembrowaniu. Wchodzi Życie w postaci ogromnego lecz zgarbionego starca z łysym czołem, długą brudno-siwą brodą. Bose, kostur w nagiej a wychudłej ręce, toga ciemno-popielata. Huczy tubalnym głosem i stąpa prosto ku drzwiom domu).

**Życie.** To mrowisko ludzkie rozbiega mi się ustawicznie... Tam wre i kipi od gwaru i trudu a oni tu sobie po laskach i gaikach... (kaszle i pluje) tfu, tfu, tfu... khe, khe, khe, tfu, tfu... Kaszel dusi... Gotyckie ostrołuki i gaje! Khe, khe, khe, khe, tfu, tfu... Tam drzwi i znowu zamknięte! (uderza w drzwi kosturem po kilkakroć) to ja idę! Otwieraj! Puszcжай mnie, samotniku! Minał czas pustelnicstwa!

**Licencjat** (do Miłości). Ty drżysz?

**Młodość.** Nie wiedziałam, że ono takie obrzydliwe!

**Szczęście** (dygocąc). Puśćcie mnie, bo zginę!

**Życie** (uderza znowu kosturem). Puść mnie, ludzki puhacz! (drzwi same się rozwierają). Cha, cha, cha, cha, cha! (kaszle i splota), khe, khe... tfu, tfu... Dźsi drzwiami i oknami wdzieram się do ludzkich siedzib a tu cisza, jak gdyby o mnie nawet nie słyszeli! (wchodzi w głąb domu). Gdzież on jest? (znika, słychać tylko huczający jego głos).

**Młodość.** Ach, uciekajmy przed tym potworem!

**Szczęście.** Uciekajmy! Polecę przed wami, może uda mi się wskazać wam drogę lub bodaj jaką kryjówkę! Uciekajmy co rychlej!

**Licencjat.** Dzieci! Ja was zrozumieć nie mogę! Ten starzec wcale nie jest tak bardzo obrzydliwy!

**Młodość.** Brrrm, znać go nie chcę! Uciekajmy!

**Licencjat.** Nie puszcze was, mnsimy się z nim spotkać oko w oko, tak, jak mi przyrzekaliście!

**Młodość.** Przyrzekłam, ale teraz sił nie czuję!

**Licencjat.** Czemże są zatem twe obietnice?

**Młodość.** Czegóż się nie przyrzeka w chwili uniesienia!

**Licencjat.** Mieliśmy przecież razem wyruszyć na podbój świata! Patrz, ten starzec wdarł się do mego gniazda! Muszę go ztamtąd wyprzeć! Jeżeli uczuwałaś w sobie siły do podbojów, niechaj ci ich nie braknie do obrony tego lichego gniazda!

**Młodość.** Kiedy z obrzydliwością walczyć niepodobna!

**Szczęście.** Ojej, jej, on tu znowu idzie!

**Młodość** (tuląc się do Licencjata). Oj, oj, oj, ja się boję!

**Szczęście** (do Licencjata błagalnie). Puść mnie, mój dobry, mój mądry, mój poczciwy! Czemu mnie gwałtem zatrzymujesz?

**Licencjat.** Stój, nie puszcze cię teraz! Potem leć, dokąd zechcesz! Teraz stój przy mnie i koniec!

**Szczęście.** Ukryję się przynajmniej!

**Młodość.** Sza... cicho... idzie... idzie...

(Przykucnęli przy studni. Życie ukazuje się na progu).

**Życie.** Ukrył się przedemną (śmieje się). Cha, cha, cha! (kaszle i splota), khe, khe, khe, tfu, tfu! (postrzegłszy Licencjata). Ah, tu jesteś, ómo ludzka? Szukam cię a chyba jeszcze od nianiek słyszałeś, że nadaremne przedemną ukrywanie! (ujrawszy Młodość i Szczęście). A wy, mary zwodnicze, błędne ogniki, cóż wy tu porabiacie? Widma chorej wyobraźni, uwodzicie całych pokoleń! Ha, bańki mydlane, samym podmuchem mógłbym was zabić! Czego wy tu chcecie, co?

**Młodość.** Ujujujujuj, nie, nie...

**Szczęście.** Mnie tu siłą więżą...

**Życie** (do Szczęścia). Precz motylu natrętny! (dmucha).

**Szczęście.** Ach, boli, boli, boli, boli! (odlatuje zdmuchnięte na parę kroków, pada i wstaje).

**Życie** (wybuchając śmiechem). Cha, cha, cha, cha! Dalej, dalej! (dmucha powtórnie, Szczęście znowu ulatuje i przewraca się).

**Szczęście.** Połamie mi skrzydełka... Och, boli, boli!

**Życie** (do Młodości). Precz i ty, zwodnico ustawiczna! Ty ludziom złote światy z mgły i promieni budujesz, światy, których niema i nie będzie! Precz, precz! (odpędza ją kosturem, ona z płaczem chowa się za studnię).

**Młodość.** Ziębisz mnie! Och, krzepnę w bryłę lodu!

**Licencjat** (występując). Stój, stary cyniku! Nie pastw się nad temi aniołami ludzkości!

**Życie** (obracając się ku niemu). Aniołami?? Już ci tak w głowie poprzewracali, że ich aniołami nazywasz, głupcze? Wezmę cię za te twoje osłe uszy a przejrzyś! Co ty tu porabiasz? Czemu się trudnisz, co? Mów? Gadaj?

**Licencjat.** Żyłem dla wyższych celów.

**Życie.** Dla wyższych, proszę? Takich... na ile łokci? Co? A czy ty wiesz, głupcze, jakie są moje cele? Cha, cha, cha, cha, khe, khe, khe, tfu, tfu... Wyższe i niższe cele! Khe, khe, khe, khe, khe... A to dopiero śmieszny dzieciuch, choć mu broda sypać się zaczyna! Czyś ty z księżycą spadł, czy co?

**Licencjat.** Obrzydliwy egoisto, nędzny cyniku, szatanie ziemi! Ciebie nic dusza ludzka nie obchodzi i jej dążenia! Nic! Tyś ślepy na jej pragnienia! Lecz ujmijmy się za bary i obaczmy jak to ma być na świecie! Obaczmy, czy ja pójdę za twemi celami, czy ty za mojemu!

**Życie.** Za twojemi celami?? Cha, cha, cha, cha! Co on gada! Ty mniemasz, że coś widzisz? Ty—widzisz? Tyś ślepy, ty! Ślepy! Przetrzyj jeno oczy, ślepy jesteś! (podnosi rękę, Licencjat ślepnie).

**Licencjat.** Ciemność otoczyła nagle moją głowę... Noc, noc... (przeciera oczy). Co się to ze mną stało? Nie widzę nic, nic!

**Młodość** (łamiąc rękę). Ach, ginę, ginę!

**Szczęście.** Gdzież ja się skryję!



**Licencjat** (wyciągając ręce). Tam był dom... o ile pamiętam... Tu gdzieś studnia... Wpadnę do studni!... Prowadźcie mnie!

**Życie**. Ja ciebie poprowadzę! (śmieje się i kaszle spluwając). Ubite, gwarne, rojne szlaki, choć kaleczące stopy! (kaszle i spluwa) Ileż tam też znalazłeś, co? Wszystkie teraz przemażesz i jedną jedyną stawisz, która będzie brzmiała jak moje imię!

**Licencjat**. Prowadź mnie... nic nie widzę, nic, nic... Nic nie wiem, nic, nic, nic... Zdawało mi się, że widzę wszystko, że wiem wszystko... Nic nie wiem, nic nie widzę... Prowadź mnie, bo zgine!

**Młodość** (szepcąc, buńczucznie). Nie idź... Nie idź... Wyrwij mu się!

**Szczęście** (tak samo). Chodź za mną!.. Ukradkiem przed tobą iść będę i szeptać: tu, tu!

**Licencjat** (obracając się ku nim). Gdzie? Gdzie?

**Życie** (do Szczęścia i Młodości). Precz, wy błędne ogniki, bańki mydlane, precz! (do Licencjaty). A ty za mną, za mną!

**Licencjat** (do Życia łagalnie). Puść mnie, ja pójdę za nimi!

**Życie** (ujmując go za kark). He, he, he, he! Gdzie? Pod czyją wodzą? He, he, he, he! Dalej w świat, ślepcze! Żegnaj się ze swemi celami i nuże za mojemu! Precz bańki mydlane, ogniki wyobraźni, mary, utopje! Zamną, zamną! Tam na drogach moich rojno, huczno, kurzawa, ruch! (popycha Licencjata przed sobą). Nie opieraj się nadaremno! Jesteś w mych ręku!

**Licencjat** (bezsilnie). Jestem ślepy i w twoich straszliwych ręku! (idzie przed starcem chwiejnym krokiem).

**Życie** (wypychając go). Dalej, dalej, z tych gaików w świat, gdzie znój, gdzie rzeczywistość! (śmieje się, kaszle i spluwa). Naprzód, naprzód, ślepcze! Mojemi drogami, mojemi!

(Wychodzą. Tubalny głos cichnie zwolna w odali).

**Młodość**. Jeszcze pojąć nie mogę, co się to stało!

**Szczęście**. Dygoce z przerażenia! Ach, tak nam tu z nim dobrze było!

**Młodość**. On tam zginie, przepadnie, biedny, oslepi! Ach, gdyby mu wzrok przywrócić! Gdybyż odzyskał światło dnia, może wydarłby się z wychudłych rąk tego straszego starca!

**Szczęście** (patrzając między drzewa). Idą tam, okrążają gaj, patrz! Głos starca huczy niedaleko!

**Młodość**. Idźmy za nimi, idźmy! Może się nam uda wybawić go, lub bodaj ulżyć mu w czemkolwiek!

**Szczęście** (czule). Ty masz zawsze bardzo dobre serce, rusaleczko!

**Młodość**. Podaj mi tylko rękę, kochanie... Albo... Ja i bez ciebie pójdę!

**Szczęście**. Masz obie ręce moje! Idźmy, idźmy!

**Młodość**. Ach, dobrze, kochanie! Z tobą pójdzie mi łatwiej!

**Szczęście**. Chodźmy tedy, siostrzyczko, chodźmy!

**Młodość**. Bo tak mi go żal! (Podają sobie ręce i skradają się przez gaj. Szczęście patrzy między gałązki).

**Szczęście**. O tak, pocichutku... Skradajmy się za nimi... Pochylił się nieco, siostrzyczko, żeby cię bardzo widać nie było... Tak, tak...

**Młodość**. Idźmy!... idźmy!... idźmy!... (W tej chwili staje im na drodze Śmierć w białej szacie, pokrywającej głowę, prawie całą twarz i spadającej aż do ziemi; na ramieniu kosa. Młodość i Szczęście zatrzymują się przerażone, lecz Śmierci nie poznają).

**Śmierć** (suchym głosem). Dokąd to, dziateczki?

**Młodość** (do Szczęścia). Kto to jest?

**Szczęście**. Nie wiem. Może ty wiesz?

**Młodość** (do Śmierci). Ach, puść nas biała pani!

**Śmierć**. Dokąd to wam tak spieszo, kochane dziateczki?

**Młodość**. Puść nas, nie pytaj, każda chwila dla nas droga!

**Śmierć** (śmiejąc się kostycznie). He, he, he... Każda chwila im droga!... He, he, he! Jak mi powiecie, to może pójdę z wami!

**Młodość** (do Szczęścia). Może ona nam pomoże? Naradźmy się.

**Szczęście**. Naradźmy się.

**Śmierć**. Naradźcie się. Ja sobie tymczasem tu na studni usiądę. O tak (siada). Stepiła mi się trochę kosa. (zdejmuje i ostrzy). Szach... ciach... szach... ciach... No, cóż dziateczki?

**Szczęście** (do Młodości). Tu doprawdy chwilkę tracić nie można!

**Młodość**. Nie można!

**Szczęście**. Wyznajmy jej wszystko.

**Młodość**. Wyznajmy!

**Śmierć**. Śmiało, lube dziateczki! Ja jestem przyjaciółką wszystkich. Mnie to jak dobrej mamie wszystko można powiedzieć (śmieje się i szczyrzy zęby).

**Młodość**. Był tu pewien młodzieniec...

**Szczęście**. Bardzo zacny...

**Śmierć**. Bardzo lubię zacnych młodzieńców.

**Młodość**. I zabrano go nam!

**Szczęście**. Z całą bezwzględnością zabrano!

**Śmierć**. Zabrano? Proszę! Ale pewnie go wam oddadzą?

**Szczęście**. Ach, po dobroci to pewnie nie...

**Młodość**. Kiedyśmy sobie tu w najlepsze siedzieli i cieszyli się sobą, przyszedł... strach wy-mówić...

**Śmierć**. Kto przyszedł, kochane dziateczki?

**Szczęście**. Ten stary, z zapłutą brodą...

**Śmierć**. Z zapłutą brodą? Proszę! Któż to taki?

**Młodość**. Życie!

**Śmierć**. Życie? Hm, proszę, proszę! A cóż to Życie z nim zrobiło?

**Szczęście**. Oslepiło go!

**Młodość**. Oslepiło i nam zabrało!

**Śmierć**. Proszę, proszę!

**Szczęście**. Wyswobódź go!

**Młodość**. Och, wyswobódź!

**Śmierć**. Proszę, proszę... Ano, kiedy sobie tego życzyście...

**Młodość**. O jaka ty dobra, biała pani!

**Szczęście**. Jaka kochana!

**Śmierć**. Dobra, kochana... (śmieje się i szczyrzy zęby). Proszę, proszę! A wiecie wy, kto ja jestem?

**Młodość**. Nie znamy cię, biała pani... Ale chyba jeszcze tą, która ociera łzy nieszczęśliwym!

**Szczęście**. Poczycielką strapionych, bo nas pocieszasz!

**Śmierć**. I tak i tak i jeszcze inaczej... Dobrze, dobrze... A gdzie on jest ów wasz utracony?

**Młodość**. Tu tędy odszedł!

**Szczęście**. Och, idź z nami, idź!

**Śmierć**. Ja iść? A to poco? Oni sami do mnie przyjdą! (śmieje się szczyrzy zęby).

**Młodość** (do Szczęścia). Co ona mówi?

**Szczęście**. To jakaś można osoba!

**Śmierć**. Bardzo można osoba... A popatrzcie no, kochane dziateczki, co to się tam dzieje, bo słyszę jakieś głosy?

(Rozlega się w dali tubalny głos Życia i rozpaczliwy krzyk Licencjaty).

**Młodość**. To on, on nasz, ach ratuj go, ratuj!

**Szczęście**. Wybaw, wybaw!

**Młodość**. Bieży tu, wydarł się z rąk starca, ratuj go, biała pani, ratuj!

(Licencjat wbiega z wyciągniętymi przed siebie rękami).

**Licencjat**. Drzewa! Ustępujcie ślepcowi z drogi! Uchodźcie strumieniu i rzeki. Słońce, spal promieniami moje bielma!

**Głos Życia**. Nie ujdiesz, marzycielu, nie ujdiesz!

(Młodość i Szczęście podbiegają do Licencjaty i obejmują go).

**Młodość**. Wydarłeś się z jego rąk strasznych? My tu przy tobie jesteśmy! Pójdź, pójdź!

**Szczęście**. To my, my!

**Licencjat**. Idźcie odemnie, ja was nie znam!

**Młodość**. Jaki, nie poznajesz mnie, mnie, Młodości?

**Szczęście**. I mnie, Szczęścia?

**Licencjat**. Ślepy jestem... a Życie mnie ściga!

**Młodość**. On nas już nie poznaje, nie poznaje nas, och!

**Licencjat**. Tu jeszcze ktoś jest!

**Śmierć**. Jest, synaczku kochany... Czeka z lubyłm uściskiem, który miłym ci będzie... Pójdź no tu, synaczku, pójdź!

**Licencjat**. Chłodny, lecz kojący głos mnie wola...

**Młodość** (podbiega ku niemu). To biała pani, ona nam pomoc przyrzekła!

**Szczęście**. Tak, tak!

**Licencjat** (do Śmierci). Ktokolwiek jesteś, gdy pomoc niesiesz, bądź pozdrowiona! (Sunie w objęcia Śmierci).

**Śmierć**. Dobrze, dobrze... (ściska go, on siadł na ziemi ona go tuli). Czy czujesz, kochasiu, lubość mego objęcia. Och, jak pała mu głowa!

**Licencjat**. Zimno mi...!

**Życie** (wchodząc). Nie ujdiesz, nie ujdiesz, marzycielu! Prędzej czy później ujmę cię, podążysz za mną, lub powlokę za sobą opornego!

**Śmierć** (do Życia). Ejże, braciszku, co wygadujesz?

**Życie** (staje zdumione). Co się to dzieje?

**Śmierć**. A widzisz, co się dzieje! (śmieje się szczyrzy zęby).

**Życie**. Zkąd ty się tu bierzesz? (kaszle i spluwa).

**Śmierć**. Przecie? my sobie ciągle w drogę wchodzimy. Dziwisz się jeszcze, braciszku?

**Licencjat** (do Śmierci). Ratuj... Lodowaty twój uścisk, lecz lepszy od jego strasznej prawicy...

**Śmierć**. Cicho, cicho, synaczku, nie skarż się... (do Szczęścia i Młodości). A skoczcie no, dziateczki kochane, po kwiatki dla niego! (Młodość odbiega i znosi jaśminy).

**Szczęście**. On pobladł!

**Licencjat**. Lepiej mi... Och!

**Życie** (siadając z drugiej strony na studni, do Śmierci). Bierz go, bierz, nie mi po nim, kiedy go dotknęłaś! (do Szczęścia i Młodości). A wy błędne mary, jeszcze i teraz ludzi go chcecie? Precz mi od niego!

**Młodość**. Ja chcę przy nim zostać! Ja niosę mu kwiaty!

**Szczęście**. I ja! I ja!

**Śmierć**. A zostańcie sobie, nie zważajcie na tego starego niedołęę! Podesłajcie memu synaczkowi te kwiaty pod głowę.

(Młodość i Szczęście zasypują Licencjata kwiatami. Śmierć rozgląda się do koła szczyrzy zęby).

**Życie** (do Śmierci). Zabrałaś mi go... Ano wieczna między nami wojna! Właściwie ty jesteś moją służebnicą... Khe, khe, khe, tfu, fu... Niepotrzebnie się wciąż zapomina o tem... Czekam... Kończ no prędzej!

**Śmierć** (do Życia). O, kochasiu, cóż ci to tak pilno? Czekaj, nie czekaj, ale ja się z nim chcę trochę popieścić! Biedny chłopuszek!

**Licencjat**. Dobra jesteś... Słodka niepamięć zalewa moje zmysły... Odczuwam dziwną lekkość... senność...

**Szczęście**. Kwiatów, kwiatów!

**Młodość**. Czemu tak pobladłeś, kochany? (kłęka przy nim i ujmując go za rękę). Czy nie czujesz mego dotknięcia?

**Szczęście**. My przy tobie! my!

**Licencjat**. Kto przy mnie?

**Szczęście**. Ja—Szczęście!

**Młodość**. I ja—Młodość!

**Życie** (na stronie). Głupi! Głupi!

**Śmierć** (do Licencjaty). Widzisz... Szczęście przy tobie... Młodość przy tobie... Życie przy tobie... No i ja przy tobie... Żle ci to? Widzisz, ile jest tu nas, synaczku? Cicho, cicho, nie drzyj, usnij, synaczku, cicho, cicho! (nuci kołysząc go w objęciu). A—a! A—a! Cii... cii...

**Licencjat**. Dziękuję ci...

**Śmierć** (nucąc i kołysząc). A—a! A—a! Cicho, cicho... cii—cii... A—a!

KONIEC.



# NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

## 6) Burza.

O godz. 6-ej byliśmy z powrotem na pokładzie równie zadowolony z naszej wycieczki do Malagi, jak niezadowolony był pan Stone, który, zostawszy na okręcie, sam, nudził się szalenie, a przytem—jak się do tego przyznał otwarcie—był trochę niespokojny o swoich. Na szczęście, niepokoił się napróżno, bo wycieczka odbyła się bez żadnego wypadku, a odbywała się w tak pomyslnych warunkach, że nie nie groziło nikomu... Tego zdania był przynajmniej nasz przyjaciel,—Francuz, który najbardziej starał się to przekonanie wpoić w czcigodnego małżonka powabnej pani Stone, a czynił to z taką elokwencją, z taką siłą argumentacji, tak *con amore*, że nawet sam Aleksander Dumas syn nie zdobył by się na wymowniejszą i bardziej przekonującą obronę danej tezy. Jakoż udało mu się przekonać dobrodusznego Anglika, że niepokoił się napróżno, co do mnie jednak, to przyznaję, nie tylko nie byłem przekonany jego argumentami, ale miałem wrażenie, jakby w tym razie „przewrotny Albion“ odznaczał się pastuszą naiwnością, a „szlachetny Gall“ powodował się niezupełnie zacnymi pobudkami. Zdaje się nawet, że tegoż zdania, co ja, była i powabna pani Stone, która, nie mieszając się do tej rozmowy swego małżonka z Francuzem, miała taką minę, jakby sobie myślała to samo, co ja... Za to panienki nie domyślały się niczego.

Tymczasem rozległ się sygnał do odjazdu, a kiedy wybiła szóstą—którą poważnie obwieścił zegar z wieży katedralnej—zaczęliśmy się oddalać od Malagi.

Pogoda była boska. Słońce chyliło się ku zachodowi, wszystko zaś, co nas otaczało, począwszy od nieba i morza, a skończywszy na całym wybrzeżu i domach Malagi—szczególnie malowniczo wyglądającej od strony morza—zaczęło się nasycać kolorem bladej róży. Cały pejzaż, jak okiem sięgnąć, nabrał jakiegoś różowo-złotego tonu, a oglądany z pokładu okrętu, stanowiącego „pierwszy plan“ tego oryginalnego krajobrazu, składał się na przepyszny *plein air*, mogący rozmarzyć każdego, kto na naturę zwykł patrzeć oczyma malarza-kolorysty. Z tego wynika, że i ja w tej chwili, stojąc na wysokim pomoście okrętu, z kądem mogłem lepiej, niż z jakiegokolwiek innego punktu, przypatrywać się rozległemu widokowi, byłem rozmarzony niezwykłym kolorytem tej panoramy, która w miarę, jak się oddalała od brzegu,—a oddalaliśmy się nadzwyczaj szybko—tracąc na konkretności kształtów, na ostrości konturów i linii; zdawała się jakby roztopiać w różowozłotej masie powietrza, stawała się coraz nieuchwytniejszą, coraz poetyczniejszą...

Wsparty o żelazną balustradę, na której stałem obok kapitana, a z kądem na całe towarzystwo, rozproszone po pokładzie, patrzyłem z wysokości paru metrów, wyobrażałem sobie, że mam jedno z tych niebiańskich widzeń, które nasuwa przed „oczy duszy“ czytanie Dantejskiego *Raju* (szkoda tylko, że ten *Raj* jest taki nudny!), kiedy nagle zostałem wrócony rzeczywistości: oto zdało mi się raptem, że stoję na huśtawce. Ni ztąd ni zowąd, okręt, który dotychczas płynął, jak po jeziorze, zaczął się kołysać, przewalać z boku na bok, jak pijany. Co się stało? Ro-

zejrzawszy się dokoła, spostrzegłem, że część morza, na którą wpłynęliśmy właśnie, była wzburzona, upstrzona białymi grzywami bałwanów, gdy ta tymczasem, którą zostawiliśmy za sobą, niezmiennie robiła wrażenie gładkiej toni jeziora. „Co to jest?“ zapytałem kapitana. „A no nic, odrzekł, wypływamy na pełne morze. Zda się jednak, że w nocy będziemy mieli wiatr od pustyni, co zresztą nie jest pożądanem.“ „Dlaczego?“ „Bo taki wiatr, jeśli się zdarzy silny, bywa dokuczliwszym o wiele, aniżeli zwykła burza.“ „Jako? czy równa się niebezpieczeństwu?“ „Eh, z niebezpieczeństwa to sobie kpimy na naszych okrętach, ale nie da się zaprzeczyć, że zarówno burza, jak i taki wiatr afrykański, nie należą do przyjemnych urozmaiceń podróży morskiej. A zresztą przekona się pan o tem dzisiejszej nocy, bo czuję już, że wiatr ciągnie ku nam. Tylko patrzeć, jak się zerwie.“

Jakoż zerwał się prędzej, niż mogłem przypuszczać. Właśnie zasiadaliśmy do obiadu. O, był to pamiętny obiad, którego nie zapomnę nigdy! A jak pamiętny, o tem niechaj zaświadczy fakt, że i w tej chwili, kiedy, spisując te wrażenia, myślę o tym obiedzie, czuję ściskanie w t. z. dołku!... Okręt kołysał się tak, że prawie wszyscy opuścili pokład. I ja byłem w tej liczbie, na pokładzie bowiem, gdzie, po zejściu z pomostu, przyłączyłem do rodziny państwa Stone, zaczynało być tak, jak bywa na szczytach Tatrzańskich, gdy nadciąga wiatr halny. Jakies piecове gorąco zaczęło owiewać nasze twarze, a morze było tak niespokojne, jakby przeczuwało coś, co było groźnem. To samo przecucie zaczęło niepokoić i nas, tak dalece, że choć zanosilo się na śliczny zachód słońca, zeszliśmy do kajuty, do sali jadalnej, gdzie, spojrzawszy na nakryty stół, ujrzeliśmy te same drewniane przegródki, któreśmy już widzieli wczoraj!... Przykre wspomnienie! Tymczasem okręt chciał się na wszystkie strony, a humor psuło gniesienie! Ze dworu, przez otwarte okienko, dochodził szum bałwanów, pomieszany z jednostajnym trzeszczeniem ścian, a nie upłynął kwadrans, gdy ten złowrogi duet zamienił się w dramatyczne *trio*: przybył mu nowy towarzysz, wiatr, a raczej wichur, który wzmagał się z każdą chwilą, czasami zdawał się wyć przeciągle i głucho, a raz po raz poświstywał tak, jakby ktoś grał na flecie. Piekielny koncert! Zwłaszcza, że go się słuchało, czując gniesienie. Oj, to gniesienie!... Słyszac z wyrazów twarzy moich towarzyszy i towarzyszek, siedzących i leżących na wszystkich kanapach, mogłem się pocieszać myślą, że mam towarzyszy niedoli, nie wyłączając moich panienek. Zaczynałem myśleć o Wergiliuszu i jego maksymie *solamen miseris socios habuisse malorum*, ale mi to przypomnienie nie przynosiło wielkiej ulgi, tembardziej, że jednocześnie zaczęły mi się przypominać inne rzeczy, a między innymi i śniadanie, któreśmy tak wesoło spożywali w *Fonda de Roma*. Spojrzałem na panią Stone, siedzącą przy swoim mężu, który w tej chwili leżał na kanapie, i zauważyłem, że była blada i milcząca. Na twarzy jej, która mi się w tej chwili wydała starszą, niż dotąd, malowała się apatya, obojętność na wszystko, a do tego *wszystkiego* należał i jej wielbiciel-Francuz, który wprawdzie siedział przy niej, ale nie robił wrażenia, jakby w tej chwili myślał o swojej roli Don Juana... Siedział zamysłony i milczący, a wyglądał, jak autor *Damy kameliowej*, kiedy był nieusposobiony do pisania. Również małomówne były moje panienki, obok których siedziałem niedaleko fortepianu. Jednym słowem, wszyscy byli jak powarzeni. Jedyny wyjątek stanowili nasi Angliacy-szachiści, którzy z fajkami w ustach siedzieli przy jednym

z nienakrytych stołów, zaabsorbowani partya szachów, oraz czwórka naszych Francuzów, którzy, obsiadłszy koniec innego stołu, grali w karty *pour passer le temps*, śmiejąc się raz po raz, gdy który zagrał niewłaściwie, i popijając absynt z wodą. Inni wyglądali jak zmokłe kury. Zdawało się, że nad tem całym towarzystwem, w dusznym powietrzu unosiło się złowrogie widmo morskiej choroby.

Ferdynand Hösick.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z bieżącej chwili.

— Jeden z przedsiębiorców odeskich stara się o pozwolenie zaprowadzenia w Warszawie omnibusów poruszanych elektrycznością lub w ostatecznym razie siłą koni. Omnibusy na wzór paryskich będą miały dwa rodzaje miejsc, wewnątrz po 5 kop. i na imperyalu po 3 kop. Projekt ten rozpatrywany ma być wkrótce przez zarząd miejski.

— We Lwowie odbyło się dn. 23 b. m. uroczyste odsłonięcie pomnika Aleksandra hr. Fredry na placu Akademickim. Pomnik dłuta Leonarda Marconiego przedstawia poetę w postawie siedzącej. W prawem ręku trzyma pióro gęsie, w lewej opartej o poręcz, zwój papieru. Pomnik ustawiony został na piedestale z dwoma stopniami, liczącym 2 m. wysokości. Na przedniej stronie pomnika znajduje się napis: „Aleksander hr. Fredro,“ na odwrotnej „Staraniem koła literacko-artystycznego we Lwowie 1897. r.“ Na uroczystość odsłonięcia pomnika nadeszły liczne depeze ze wszystkich stron kraju. Wieczorem odbyło się w teatrze przedstawienie złożone z utworów niezapomnianej pamięci komedyopisarza.

— Helena Modrzejewska przybyła w b. m. do Chicago celem zorganizowania trupy, z którą wyjeżdża następnie na zachód. Pierwszą stacją będzie Kansas City. Po dwóch tygodniach trupa powraca do Chicago, gdzie dawać będzie przedstawienia przez 3 tygodni. Modrzejewska odtworzy role Magdy, Maryi Stuart i Adryany Lecouivre.

— Królowa rumuńska Carmen Sylva otrzymała w uznaniu zasług, jakie położyła na polu naukowem dyplom honorowego doktora filozofii uniwersytetu peszteńskiego.

— W Bazylei odbył się dn. 23 b. m. jubileusz malarza Boechlina. Na program uroczystości złożony się odczyt publiczny o życiu i dziełach jubilata, uroczyste przedstawienie w teatrze i bankiet.

## SPROSTOWANIE.

W numerze „Bluszczu“ 43, w artykule „Memento.“ na str. 338, szpalta 2, wiersz od góry 26, wydrukowano: i naraża na zagładę,—a powinno być: i nie naraża ich na zagładę.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 9 powieści, p. t. *Da zabicia czasu*, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S.

**Treść:** Wystawa pracy kobiet, przez Anatola Krzyżanowskiego. — Droga, przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Kazimierz Gliński. Wróci! Powieść. (dalszy ciąg). — Bajka. Obrazek sceniczny w jednej odsłonie, przez Andrzeja Niemojewskiego. — Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkusz 9. — Przegląd mód. 23 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg  
Дозволено Цензурою. — Варшава, 22 Октября 1897 г.